



DYSKUSJA

Ostatnio opinię publiczną zbulwersowała tzw. sprawa łomżyńska, dotycząca małżeństwa, które zdecydowało się na drugie dziecko, choć podejrzewało, że będzie ono dotknięte bardzo poważną chorobą genetyczną. Kiedy małżonkowie chcieli przeprowadzić badania prenatalne, spotkali się z odmową lekarzy. Dziecko faktycznie urodziło się chore (niedorozwój stawów) i rodzice skierowali sprawę do sądu, argumentując, że gdyby znali wcześniej jego stan, zdecydowałiby się na aborcję. Sprawa rzeczywiście jest bardzo złożona. Jak osądza ją Ksiądz Profesor?

KS. ANDRZEJ SZOSTEK: Nie chcę zbyt pochopnie w tej sprawie wyrokować. Wielu jej szczegółów nie znam, problemy bioetyczne z reguły są dość złożone i wymagają zaawansowanej wiedzy biologicznej, a zwłaszcza genetycznej. Ponadto daleko mi do tego, bym się w tych dziedzinach uważał za eksperta.

A sprawa, której dotyczy pytanie, jest rzeczywiście dramatyczna. Problemem nie są badania prenatalne jako takie. Byłoby tak, gdyby się okazało, że technika ich przeprowadzenia mogła spowodować trwałe uszkodzenie płodu lub odbić się niekorzystnie na zdrowiu matki. Jeśli przeprowadzane są w odpowiedni sposób, należy uznać je za pozytywne. Problem pojawia się wtedy, kiedy ich celem jest eliminacja osobników dotkniętych ciężkim schorzeniem. Proszę więc postawić się w sytuacji lekarza, który uważa, że każde dziecko od poczęcia jest człowiekiem, i który pamięta o przysiędze Hipokratesa, a ma podstawy przypuszczać, że prośba o przeprowadzenie badań prenatalnych nie wynika tylko z zainteresowania zdrowiem płodu, lecz kryje się za nią gotowość usunięcia go, jeśli okaże się chory.

Co miał zrobić lekarz, który podejrzewał, że negatywny wynik badań spowoduje decyzję o aborcji? Nie ma prostej odpowiedzi na to pytanie. Matka miała przecież prawo do zapoznania się z wynikami takich badań, ale i lekarz miał podstawy, by powstrzymać się od ich przepro-



wadzenia, jeśli nie chciał przyłożyć ręki do aborcji. I muszę powiedzieć, że trudno mi ganić lekarza i bagatelizować jego skrupuły.

Czy jednak, pomijając sprawę sumienia lekarza, rodzice nie powinni mieć prawa do dokonania wolnego, w pełni świadomego wyboru?

Wyboru czego? Czy poczęte, a nienarodzone dziecko jest do tego stopnia własnością rodziców, że należy ułatwić im dokonanie czegoś, co według mnie ma charakter zabójstwa? W trakcie wykładu, na innym przykładzie i w innym kontekście, próbowałem przedstawić i wstępnie uzasadnić tezę, że żaden człowiek nie jest własnością jakiegokolwiek innego człowieka. I tam, gdzie w grę wchodzi prawa fundamentalne, jak prawo do życia, człowieka należy chronić – jeśli trzeba – nawet przed najbliższymi. Podkreślałem, że chodzi o biologiczne życie, które jest warunkiem i podstawą realizacji jakichkolwiek innych wartości. Gdy mowa o świętości życia, to w istocie chodzi o świętość człowieka po prostu; pierwszym „słowem” należnej mu akceptacji jest respekt dla jego życia. Obowiązek poszanowania życia każdej ludzkiej osoby, a zwłaszcza niewinnej, spoczywa zarówno na matce, jak i na lekarzu. Dramat „sprawy łomżyńskiej” polega na tym, że lekarz, nie chcąc przyczynić się do aborcji, zablokował matce dostęp do informacji, do których skądinąd miała prawo.

Wróćmy do tematu wykładu. Oto pytanie mające bezpośredni z nim związek. Czy godność człowieka, który ewentualnie powstanie wskutek klonowania, będzie inna niż godność człowieka poczętego naturalnie? Jeśli człowiek klon będzie miał taką samą godność osobową, to dlaczego klonowanie mielibyśmy uważać za moralnie niedopuszczalną formę powstawania człowieka?

To bardzo dobre pytanie. Godność człowieka powstałego drogą klonowania jest dokładnie taka sama jak każdego innego człowieka. Kościół protestuje przeciwko poczęciu dziecka poza rodziną, ale jeśli już do tego dojdzie, uważa, że jest ono oczywiście takim samym dzieckiem jak to, które przyszło na świat w rodzinie. Należy tu więc odróżnić dwie kwestie: kwestię prawidłowości i moralnej oceny działań związanych z przekazywaniem życia oraz kwestię stosunku do tego, kto już się urodził. Przecież Kościół nie akceptuje także gwałtu, ale stoi na stanowisku, że dzieckiem poczętym z gwałtu trzeba się zająć tak samo troskliwie albo



nawet z większym jeszcze zaangażowaniem, ponieważ znajduje się ono w sytuacji trudniejszej niż „normalne” dzieci. Jest ono w takim samym stopniu człowiekiem, obdarzone jest taką samą godnością i nieśmiertelnością. Za nie również Pan Jezus umarł na krzyżu i je także chce mieć w niebie.

Taki stosunek do dzieci poczętych z gwałtu nie oznacza, rzecz jasna, moralnej aprobaty dla samego gwałtu. Podobnie uznanie, że człowiek powołany do życia drogą klonowania obdarzony jest taką samą godnością jak inni ludzie, nie oznacza aprobaty dla samego klonowania, nie oznacza uznania tej techniki za moralnie równoważną poczęciu dziecka w akcie miłujących się małżonków.

Jeden z włoskich biologów utrzymuje, że już sklonował człowieka. Jeżeli to prawda, to czy ten sklonowany człowiek ma duszę? Czy, patrząc na możliwość klonowania duszy z perspektywy teologii katolickiej, Bóg ze chce współpracować z uczonymi, którym uda się sklonować ludzkie ciało, i tą duszą je obdarzy? Jeśli tak, to czy ten rodzaj „współpracy” nie może stać się argumentem – co prawda przewrotnym – na rzecz dopuszczalności klonowania i oznaczać, że możliwość klonowania leży w planach Bożej Opatrzności?

Teologowie, specjaliści w odróżnianiu niuansów, powiadają, że trzeba oddzielić to, co leży w zamiarach Bożych, od tego, co Bóg dopuścił. Czy Pan Bóg chciał grzechu człowieka? Nie, ale nie wykorzystał swej wszechmocy, by jego popełnienie uniemożliwić – i w tym sensie grzechy dopuścił. Czy Pan Bóg chce klonowania człowieka? Sądzę, że nie. Ale dopuścił możliwość realizacji takich zamierzeń ludzkich. Jakie są intencje Pana Boga? Odpowiedź jest bardzo ryzykowna: któż śmiałby wnikać w Boże zamiary? Ale można powiedzieć, że to Pan Bóg zaryzykował pierwszy, stwarzając istotę rozumną, jaką jest człowiek. Współpraca człowieka z Bogiem polega głównie na tym, że człowiek, który jest istotą rozumną i wolną, może być Panu Bogu wierny albo niewierny, może ten świat rozwijać albo go niszczyć, obrócić postęp naukowo-techniczny na swoją chwałę albo na swoją zgubę. Czy można powiedzieć, że Pan Bóg z tym współpracuje? Gdybym był Panem Bogiem, być może natychmiast uśmierciłbym człowieka, który postępowałby nie po mojej myśli, ale w ten sposób faktycznie pozbawiłbym go wolności. Bóg zaryzykował więc samym aktem stworzenia człowieka wolnego, który tę wolność może wykorzystać w różny sposób, na dobre albo na złe.



Teraz kilka słów o samej duszy. Mówiłem o różnicy pomiędzy duszą rośliny lub zwierzęcia i duszą człowieka. W przypadku istoty żywej nierozumnej dusza organizuje ciało, co pozwala odróżnić je od martwego przedmiotu. Funkcja „duszy” roślinnej i zwierzęcej (mówiąc językiem Platona) ogranicza się do takiej organizacji ciała; nie stanowi źródła jakichkolwiek „własnych” aktów, cała jej aktywność określona jest zewnętrznymi wobec niej prawami przyrody. Kiedy zatem mówię, że mogę sklonować roślinę albo zwierzę, to dotyczy to również tak pojętej „duszy”. Jeżeli natomiast człowiek jest istotą rozumną i wolną, to jego duszy nie da się sprowadzić do funkcji organizatora ciała – i dlatego jest – jak zapisano w katechizmie – nieśmiertelna. Św. Tomasz powie: dusza jest substancjalną, a nie materialną jednością, ponieważ zdolna jest generować akty swoiste (poznania i wolnego chcenia), które angażują mózg i całe ciało, ale które źródło swoje mają w niej, nie w ciele. W Dniu Zadusznyim modlimy się za dusze zmarłych, ponieważ dopuszczamy, że człowiek może żyć, nawet gdy jest pozbawiony mózgu i całego ciała. Jest to stan dla człowieka nienormalny, rzecz można (nie obrażając zmarłych) kaleki, modlimy się przecież o zmartwychwstanie ciał – jest to jednak stan możliwy.

Gdyby zatem doszło do sklonowania człowieka, to trudno byłoby mówić o sklonowaniu duszy, ponieważ procedura klonowania dotyczy najgłębszej struktury cielesnej, nie sięga natomiast tego wymiaru ludzkiej duszy, który wykracza poza organizację ciała. Sklonowany w sensie cielesnym człowiek będzie miał odrębną duszę, będzie zdolny do indywidualnego, osobowego poznania i do podejmowania własnych, wolnych decyzji.

Badaniom naukowym z dziedziny klonowania przyświeca niekiedy cel stworzenia nowego, wspaniałego świata, w którym słabe jednostki zostaną zastąpione bardziej wartościową, wolną od defektów rasą ludzi. Ale klonowanie niekoniecznie musi służyć takim niebezpiecznym totalitarnym celom. Może służyć temu samemu zadaniu co tradycyjna medycyna: walce z chorobami ludzi żyjących, wtedy gdy klony będą na przykład materiałem do przeszczepów. Jaki jest stosunek Księdza Profesora do tak pojmowanego klonowania?

Przy całej sympatii do pomysłów mających na celu polepszenie stanu zdrowia wielu ludzi i ulżenie ich cierpieniom, powiedzmy sobie wyraźnie: taki sposób wykorzystywania klonów będzie swoistą odmianą tota-



litaryzmu – i to odmianą bardzo radykalną. Klon bowiem traktowany będzie nie jak człowiek, obdarzony nieśmiertelną i niepowtarzalną duszą, ale jak materiał ludzki, z którego pozyskuje się części zamiennie dla innych ludzi. Wypada raz jeszcze przypomnieć stanowisko Kościoła, który sprzeciwia się klonowaniu, ale staje w obronie tych, którzy przez klonowanie powołani zostali do życia. Nie są oni materiałem ludzkim, bankiem części zamiennych, lecz ludźmi, mimo że poczętymi w sposób – jak powiadają prawnicy – niegodny wprawdzie, ale ważny.

Takie „zakusy utylitarne”, a więc ochota, by klony ludzkie traktować jako magazyn ludzkich części zamiennych, to jedna z istotnych racji przemawiających, jak sądzę, przeciw klonowaniu. Wprawdzie można sobie pomyśleć bardziej szlachetne, bezinteresowne motywy skłaniające do takiej seryjnej „produkcji” ludzkich osobników, faktycznie jednak klonowanie ludzi uważa się za atrakcyjne z powodów, o których wspominał autor pytania, a które oznaczają sprowadzenie ludzkich klonów do kategorii „podludzi”.

Utylitarne ich traktowanie może mieć także inną, nieco słabszą postać: wtedy gdy pragniemy powołać do życia ludzi wyposażonych w określone cechy. Możemy marzyć na przykład o wysokim brunecie, obdarzonym wrażliwością artystyczną, dowcipnym i miłym w obejściu – i wyobrazić sobie, że klonowanie da większą gwarancję uzyskania osobnika odznaczającego się tymi walorami niż poczęcie naturalne. Pomińmy związane z tym trudności techniczne (np. to, że klon nie będzie genetycznie młodszy od swego pierwowzoru, a także to, że wiele naszych cech kształtuje otoczenie, nie zaś „genetyczny garnitur”). Istotne jest samo traktowanie klonu jako osobnika pożądanego nie „dla niego samego”, ale z powodu zaplanowanych jego zalet. Protestujemy – i słusznie – przeciw nadmiernej ingerencji rodziców, którzy usiłują „na siłę” wykreować ze swego dziecka naukowca, lekarza, adwokata itp. Klonowanie jest próbą jeszcze głębszego ingerowania w specyfikę człowieka i jego osobowość.

Nie jestem entuzjastą klonowania także dlatego, że „wyprowadza” ono człowieka z kontekstu miłości małżeńskiej. Bóg jest miłością, a człowiek jest uczyniony na Jego obraz i podobieństwo. Kiedy poczęty został w akcie miłości małżonków i wzrasta w atmosferze rodzinnej miłości – wtedy ma szansę własnego wzrastania w miłości, która o jego moralnym dojrzewaniu najgłębiej stanowi.

W swoim wykładzie posłużył się Ksiądz Profesor kategorią świętości życia. Co to jednak dokładnie oznacza? Czy ta kategoria jest zrozumiała



poza kontekstem religijnym? Jakimi argumentami przekonać o niewłaściwości klonowania osobę niewierzącą?

Oczywiście, w świetle Objawienia chrześcijańskiego prawda o wielkości człowieka uzyskuje swój szczególny blask i głębię. Ale to nie chrześcijanie wymyślili, iż człowiek jest istotą szczególnie godną szacunku. Stoicy mówili: „*homo homini res sacra*”. Tadeusz Kotarbiński, który nie był przecież myślicielem religijnym, jako ideał etyczny podawał spolegliwego opiekuna, czyli takiego, na którym zawsze można polegać. Dla Czesława Znamierowskiego cała etyka zasadzała się na fundamentalnej zasadzie życzliwości powszechnej. Kant powiadał (w drugiej formule imperatywu kategorycznego): „Postępuj tak, abyś człowieczeństwa, tak w sobie, jak i w innych, nigdy nie traktował wyłącznie jako środka do celu, ale zawsze co najmniej również jako cel”.

Zauważmy, że wszyscy chcą uchodzić za prawdziwych humanistów, nie usiłując jednak nawet uzasadniać, dlaczego n a l e ż y być humanistą. Jacques Maritain, tomista, napisał *Humanizm integralny*, Jean-Paul Sartre, egzystencjalista – *Egzystencjalizm jest humanizmem*, marksiści wydali osobny numer „Studiów Filozoficznych” zatytułowany *Humanizm socjalistyczny*. Wszyscy mienią się „prawdziwymi” humanistami, uznając za samo przez się zrozumiałe, że humanistą być należy; że ich etyka nie byłaby nic warta, gdyby nie koncentrowała się na człowieku jako na istocie cennej i wartej akceptacji dla niej samej. Jest to dla nich – jak by powiedział Kotarbiński – „oczywistość serca”, a oczywistości ani nie należy, ani nie można dalej uzasadniać.

W naszym języku istnieje cudownie dwuznaczne słowo „dojrzeć”. *D o j r z e ć* znaczy tyle, co „dostrzec, zobaczyć”, ale znaczy też „stać się dorosłym, dojrzałym”. Wchodzenie w dorosłość dokonuje się poprzez dojrzenie czegoś, czego człowiek wcześniej nie widział. Ważną rolę w procesie moralnego dojrzewania odgrywa wstyd.

Pamiętam taką historię z dzieciństwa. Wracając z kolegami ze szkoły w Grudziądzu, szliśmy często przez park botaniczny. Tam pracowała kobieta, która z wojny wyniosła kalectwo zarówno fizyczne, jak i psychiczne. Była kulawa i bardzo znerwicowana, psychicznie nie zrównoważona. Wpadała w furję, gdyśmy ją przezywali „kula-pyt” (idiotyczne przezwisko, ale tak właśnie na nią wołaliśmy). Gonila nas, rzucała za nami grabiami czy tym, co miała pod ręką – a my mieliśmy uciechę.

Aż któregoś dnia idziemy przez park, wołamy na nią jak zwykle – a tu nic. „Kula-pyt” siedzi na ławce, z głową spuszczoną, zrezygnowa-



na. Coś w nas się poruszyło. Przestaliśmy ją drażnić. Można rzec: „Żadna zabawa, skoro nie wrzeszczy i nas nie goni” – ale nie, rzecz sięgała głębiej. Odtąd, nie umawiając się, przestaliśmy o tym mówić i nigdy już nie wracaliśmy do tej obrzydliwej zabawy. Jakbyśmy chcieli ją wymazać z pamięci. Wstyd. Warto pomyśleć, co się za tym krótkim słowem kryje. Jakie odkrycie człowieka poprzez to, czego nie wolno mu w żadnym razie czynić.

Świętość człowieka da się więc zobaczyć także poza kontekstem religijnym, choć dopiero poprzez odniesienie do Boga odsonić można pełniej korzenie jego wielkości. Ale ja bym nawet i wierzących nie odsyłał do Pisma Świętego, tylko najpierw do takich właśnie doświadczeń, dzięki którym człowiek dojrzewa, dostrzegając to, co dotąd było dla niego zakryte; między innymi do doświadczenia wstydu.

Także jednak do innych doświadczeń, związanych z próbą wychowania innych. Zauważmy, jak próbujemy dzieciom przybliżyć, kim jest człowiek i co z tego wynika pod względem moralnym. Oto Kasia bawi się w kuchni: bębni chochlą w patelnię. Mama mówi: „Kasiu, nie hałasuj, babcia chce spać. Jest już starsza, niezbyt zdrowa, tyle się napracowała przy obiedzie, teraz chce odpocząć – a ty tak hałasujesz”. Z Kasią – jak by powiedział Kubuś Puchatek – jak z pszczołami: nigdy nic nie wiadomo. Może odłoży swe dziwne zabawki, ale może być i tak, że tym mocniej będzie walić chochlą w patelnię. Wtedy mama zmieni argumentację. „Jak ja ci przyłożę chochlą albo jeszcze lepiej patelnię, to popamiętasz...” Co mama wygrała, a co przegrała? Wygrała ciszę, ale przegrała p o w ó d, dla którego Kasia by się uspokoiła. Trudno mamę za to krytykować, w danym momencie inne motywy mogły do Kasi nie docierać, kiedyś jednak będzie musiała znowu spróbować przemówić jej do rozumu innym argumentem niż kij i marchewka.

Zauważmy przy tym, jak mama próbuje pokazać dziecku babcię i co z tego wynika pod względem moralnym. Nie mówi przecież: „Kasiu, miej wzgląd na godność osobową babci”. Raczej maluje obraz babci, pozornie czysto opisowymi „farbami”, w nadziei, że Kasia dzięki temu obrazowi zobaczy, czego wyrządzić babci nie wolno. Na tym polega wychowanie i tym różni się ono od tresury, że jego istotą jest pomoc człowiekowi, by sam zobaczył człowieka jako zobowiązującego do określonego działania, mającego na względzie jego dobro. Tego zobaczenia nie zastąpi żadna doktryna, nawet chrześcijańskie Objawienie.



Wróćmy jeszcze do pytania o terapię genową. Ksiądz Profesor najwyraźniej widzi w niej więcej niebezpieczeństwa niż szans. Tymczasem to ona właśnie daje obecnie największe nadzieje na leczenie chorób nowotworowych. Czy Ksiądz Profesor jest przeciwny eksperymentom na tym polu?

Ależ skąd! To oczywiste, że wiele lekarstw (między innymi insulinę) pozyskujemy właśnie metodą klonowania. Daleki jestem od tego, żeby krytykować tego rodzaju badania naukowe (inna rzecz, że nie bez powodu wydaje się dziś na nie więcej pieniędzy niż na badania atomowe). Ja jestem tylko przeciwny klonowaniu człowieka, z powodów, o których wcześniej mówiłem. Jeżeli mnie jednak ktoś przekona, że nie mam racji, to chętnie zmienię zdanie, bo nie jest łatwo protestować przeciw temu, co sprzyja postępowi naukowemu, zwłaszcza gdy się jest naukowcem.

Ale nie wolno robić z nauki bożka. Nauka ma służyć człowiekowi, a nie na odwrót. Jeśli się okaże, że mu nie służy, to trudno – będziemy musieli w jakiejś mierze ograniczyć także eksperymenty naukowe i opóźnić jej rozwój. Znamienne, że nie tak dawno genetycy postanowili zaniechać podejmowania pewnych tematów i przeprowadzania niektórych eksperymentów: tych mianowicie, które wiązały się ze zbyt wielkim ryzykiem nadużycia ich przeciw człowiekowi. I nawet jeśli postanowienie to brzmi nieco naiwnie (trudno uwierzyć, by ta solidarność zawodowa miała trwać w nieskończoność i by skutecznie chroniła przed nadużyciami) – to ważne pozostaje uzasadnienie tego samoograniczenia naukowców. Uznali oni, że ludzkość nie jest wystarczająco odpowiedzialna i nie potrafi kontrolować wyników tych eksperymentów ani właściwie ich wykorzystać.

Czy zatem wystarczy poprzestać na prawnym zakazie klonowania człowieka, czy też należy zakazać prawem prowadzenia pewnego typu badań naukowych innych niż klonowanie? O jakich badaniach może tu być mowa?

Nie wystarczy ani jeden zakaz, ani drugi. Restrykcje prawne to za mało. Są one efektem pewnej świadomości społecznej – na jej kształtowanie trzeba kłaść szczególny nacisk. A to okazuje się znacznie trudniejsze niż formułowanie norm prawnych, choć i one są potrzebne. Trzeba przywrócić wrażliwość na świętość ludzkiego życia. Niezwykle dramatycznie wzywa nas do tego Jan Paweł II w encyklice *Evangelium vitae*. Przywrócenia tej



wrażliwości nie da się dokonać żadnym dekretem, dlatego ostatnia część encykliki odnosi się raczej do ludzi związanych z praktyką życiową (duszpasterzy, wychowawców) niż do naukowców. Papież wzywa ich, by pomogli nam odkryć ponownie świętość każdego ludzkiego życia. To jest najtrudniejsze zadanie. Dopiero na tym mogą opierać się różne prawne restrykcje. Prawo – potwierdzi to każdy prawnik – nie będzie działać tam, gdzie nie jest akceptowane.

Czy etyka jakości życia musi koniecznie stać w sprzeczności z etyką świętości życia?

Powiedziałbym tak: na tym poziomie, o którym tutaj mówimy, na poziomie podstawowych kryteriów wartości człowieka, etyka jakości życia stoi w sprzeczności z etyką jego świętości. Ale domyślam się intuicji, jaka kryje się za tym pytaniem. Przecież stale oceniamy się nawzajem. Rozważamy, kto bardziej nadaje się na prezydenta, księdza, urzędnika, naukowca, aktora – biorąc pod uwagę cechy, którymi się kandydat odznacza. Czy nie jest to ocena z punktu widzenia jakości życia? Oczywiście, że tak i oczywiście taka ocena jest moralnie całkowicie usprawiedliwiona. Jest to ocena z punktu widzenia przydatności do pełnienia określonych funkcji społecznych, ocena w tym sensie aspektowa.

Co innego jednak, gdy taka funkcjonalna ocena pełni rolę fundamentalnego kryterium wartości człowieka. W tej roli kryterium jakości życia nie da się pogodzić z kryterium jego świętości. Racją cenności (godności) człowieka nie są jego zalety, bardziej lub mniej przydatne społecznie, ani korzystny bilans przyjemnych doznań w stosunku do przykrych. Jeśli ci, którzy wyznają zasadę świętości życia, twierdzą, że nie wolno człowiekowi zadawać śmierci od poczęcia aż do naturalnego zgonu, chcą przez to powiedzieć: oby był on jak najbardziej przydatny, oby znalazł na tym świecie jak największe szczęście; ale nawet gdyby nie był przydatny i nawet gdyby, po ludzku biorąc, takiego szczęścia nie zaznał, to ma prawo do życia – i nie zależy ono od jego jakości. Zwolennik etyki jakości życia powie natomiast: Nie, to życie musi mieć odpowiednią kwalifikację, żeby warte było podtrzymywania. I w takim sensie te dwa typy myślenia stoją w opozycji do siebie.

W swoim wykładzie sformułował Ksiądz Profesor następującą tezę: organizm sklonowany pozbawiony jest miłości rodzinnej i wszystkich jej sygnałów, jakie w fazie prenatalnej docierają do dziecka poczętego natural-



nie. Tymczasem wydaje się, że – przynajmniej na obecnym etapie badań – organizm sklonowany nie będzie rozwijał się poza organizmem kobiety, w jakimś niehumanym, nieorganicznym inkubatorze. Będzie się on rozwijał i przechodził kolejne fazy tak jak dziecko poczęte w sposób naturalny, czyli w organizmie kobiety, która może przecież obdarzyć go taką samą miłością macierzyńską jak dziecko poczęte z mężczyzny.

To racja. Posłużyłem się pewnym uproszczeniem. Rzeczywiście jest tak, że z „technicznego” punktu widzenia nie musi być tak wielkiej różnicy między dzieckiem poczętym ze związku z mężczyzną a dzieckiem, które zrodziło się z klonowania. Ono także rozwija się w łonie matki i może być otoczone jej miłością i miłością rodziny. Nadal jednak poważne racje przemawiają, moim zdaniem, przeciw zastępowaniu naturalnego poczęcia klonowaniem.

Otóż istnieje pewna organiczna jedność miłości dwojga ludzi i ta miłość znajduje swój owoc w dziecku. Kochający się małżonkowie pragną, aby dziecko nosiło cechy ich obojga i w tym sensie było owocem ich miłości obejmującej cały wymiar duchowo-cieleśny. Tymczasem klon jest właściwie dzieckiem „wyłącznie kobiety”, jeśli na przykład jądro jej komórki somatycznej zostaje przeniesione do jej komórki rozrodczej. W tym sensie równie dobrze może to dziecko otaczać opieką dowolna osoba z rodziny. Kościołowi, który niepokoi się takim sposobem powoływania do życia, chodzi jednak o to (oprócz czysto teologicznego związku z samym Stwórcą), by więź z rodzicami i całą rodziną była pełna, a nie ograniczała się tylko do deklarowania troski wychowawczej – żeby rzeczywiście dziecko było owocem miłości dwojga ludzi w wymiarze nie tylko duchowym, ale i cielesnym.

Zdaję sobie sprawę, że pojawia się od razu pytanie: no a co, jeżeli rodzice nie mogą spłodzić dziecka w sposób naturalny? Czy nie wolno im uciec się do innego sposobu? Małżeństwo ma przecież prawo do posiadania dziecka. Otóż nie. Nikt nie ma „prawa” do innego człowieka. Dziecko jest *dar*em, do daru nikt prawa nie ma. Wiem, że to może brzmieć okrutnie, ale znów wracamy do tego, że człowieka nie można traktować czysto instrumentalnie. Podobnie jak nikt nie ma „prawa” do miłości, jaką go ktoś obdarza. Ci, którzy naprawdę się kochają, dobrze wiedzą, że nie zasłużyli sobie na miłość drugiej osoby. Sprowadzenie miłości do poziomu uprawnień i zobowiązań oznaczałoby jej śmierć.

O dar dziecka można błagać jak o zdrowie. Prośby te często pozostają niewysłuchane, w naszym ludzkim rozumieniu. Nikt nie zna Bo-



zych planów. Ale przy całym współczuciu dla bezdzietnych małżeństw, nie może to wystarczać jako usprawiedliwienie dla klonowania. Powoływanie dziecka do życia inną drogą jest czynieniem go własnością rodziców, a nikt nie ma prawa w takim sensie posiadać drugiego człowieka.

Cały czas mówimy o eksperymentach na ludziach. A co ze zwierzętami? Czy to nie biblijny nakaz „czyńcie sobie ziemię poddaną” dostarczył usprawiedliwienia dla okrutnych eksperymentów na zwierzętach?

Sądzę, że nie. Taką wykładnię Biblii uważam za nadużycie interpretacyjne. Biblijny opis stworzenia świata nie zachęca do barbarzyńskiej eksploatacji ziemi. Stwarzając świat, Bóg „widział, że wszystko, co uczynił, było dobre”. Umieszczając w tym świecie człowieka, przekazał mu kontynuowanie dzieła stworzenia w tym samym duchu i stylu: by to, co czyni, służyło wzrostowi i rozwojowi całej ziemi; by to, co będzie czynił, również było dobre.

Niemniej jednak człowiek wyróżnia się wśród innych istot żywych – właśnie swą rozumną wolnością. Jak powiadał Kant, człowiek jest „obywatelem państwa celów”. Wyrasta więc ponad otaczającą go przyrodę (dlatego ma nad nią panować), ale sprawuje swą funkcję z mandatu Boga i Jemu podlega. W średniowieczu powiadano: *„In medio positus est homo. Nec bestia, nec deus”* – człowiek jest postawiony pośrodku, nie jest ani zwierzęciem, ani Bogiem. W ciągu dziejów wielokrotnie niszczonego człowieka przez to, że go bądź ubóstwiano, bądź „ubestwiano” (najczęściej ubóstwianie jednych powodowało „ubestwianie” innych).

Ale to nie znaczy, że istoty inne niż człowiek pozbawione są wartości – i to wartości moralnie zobowiązującej. W każdym przypadku to znaczy: w odniesieniu do każdego bytu obowiązuje mnie nakaz traktowania go adekwatnie do poznanej o nim (o jego naturze) prawdy. Dotyczy to także naszego stosunku do zwierząt. Znęcanie się nad nimi jest moralnie naganne, ponieważ zwierzęta także przedstawiają sobą pewną wartość, którą należy respektować. Jej naruszenie wymaga wystarczającego usprawiedliwienia. Bywa, że zwierzę trzeba czasem poświęcić dla człowieka; jeśli w trakcie pożaru nie mogę uratować wszystkiego, to raczej chronię dziecko niż kota. Ale znęcanie się nad zwierzętami jest złem, ponieważ one także domagają się respektu, proporcjonalnego do własnej rangi bytu i wartości. U podłoża etyki leży przekonanie o wartości wszelkiego bytu, zgodnie z adagium *„Ens et bonum convertuntur”*,



byt i dobro są zamienne. Zasada ta ma znaczenie metafizyczne, ale wyraża też podstawową intuicję moralną. Tę myśl naszkicował kiedyś prof. Władysław Stróżewski w bardzo interesującym artykule *Etyka afirmacji*.

W jaki sposób chrześcijanie powinni zapobiegać praktykom genetycznego manipulowania człowiekiem? Co mogliby czy powinni w tej sprawie robić?

Nie wiem. Pewnie powinniśmy się modlić, rozmawiać ze sobą, wyrażać publicznie swoją opinię, żyjemy przecież w społeczeństwie demokratycznym. Pewnie powinniśmy się sami starać lepiej zrozumieć otaczającą nas rzeczywistość i pomagać w tym innym. Nie ma tu żadnego prostego klucza. Działania, które należałoby podjąć, nie powinny być jednak pojmowane w kategorii walki z klonowaniem człowieka. Chodzi raczej o to, by dojrzeć cudowność i tajemnicę istnienia. Cała reszta, łącznie z moralną oceną klonowania, jest już tylko konsekwencją takiego myślenia.

*Rozmowę prowadzili
Jarosław Gowin i Łukasz Tischner*

ANDRZEJ SZOSTEK MIC, ur. 1945, profesor filozofii, etyk, wykładowca i rektor KUL, członek zespołu kwartalnika „Ethos”. Wydał m.in.: *Natura – rozum – wolność. Filozoficzna analiza koncepcji twórczego rozumu we współczesnej teologii* (1989), *Pogadanki z etyki* (1993), *Wokół godności, prawdy i miłości. Rozważania etyczne* (1995).